

Jan Twardowski

Rozmawia Jacek Kubiak, nagranie z 2007 r.

Jacek Kubiak: No to jak Pan zaczął o tym mówić, to może Pan opowie, jak wyglądało to 100-lecie Bazaru?

Jan Twardowski: No więc właśnie, chociaż to nie będzie początek naszej rozmowy, ale będzie już takim wspomnieniem, które bardzo dobrze pamiętam, bo już wtedy byłem, można powiedzieć dorosły, miałem 18 lat. Pierwsze takie moje wystąpienie publiczne, było na tej uroczystości Bazarowej. Wieczorem się odbył wielki bankiet na Białej Sali, która teraz jest w trakcie odbudowy, w tej chwili, bardzo ładnie to odbudowują moi bratankowie. Odbывало to się w ten sposób, że stał stół od jednego rogu do drugiej sali, na jakieś 100 osób. Dania były właściwie wszystkie z surowców, przywiezionych z naszych majątków. Pamiętam, że były jakieś kotleciki z jagniąt, które były wyhodowane u mojego ojca, oczywiście wszystkie warzywa były przywiezione ze wsi itd. I to takie było przyjemne, że miałem nawiązanie do tych tradycji, że to zawsze był ten ośrodek ziemiaństwa. Jeśli chodzi o moje wspomnienia z młodszych lat, to pamiętam, że zawsze chodziłem - nie zawsze, ale matka mnie zabierała, mieszkaliśmy niedaleko Poznania – zabierała mnie na jakieś sprawunki, to chodziliśmy po ulicy 27 Grudnia, Placu Wolności, tam były takie sławne sklepy jak powiedzmy Leitgebera czy Kałamajski, czy inne. I kupowało się hurtowo. Więc od razu 25 kg kawy czy 20 kg herbaty, oczywiście tego matka nie zabierała tylko – Proszę odsyłać do Bazaru. No i to się wszystko gromadziło w portierni Bazarowej, potem przyjeżdżaliśmy samochodem i to się przeładowywało na samochód i to wędrowało na wieś.

JK: A czy pamięta Pan jakieś jeszcze wydarzenie z Bazaru? Właśnie ktoś mi mówił, że Pan jakiś koncert pamięta?

JT: Tak, już nie pamiętam dokładnie, w którym to roku było, ale to był chyba 37-my rok. Był koncert Kiepur, ale w Auli Uniwersyteckiej, a następnie Kiepur przyjechał na kolację do Bazaru. I tam zresztą mieszkał, nocował w Bazarze. I był zaproszony przez mojego ojca na kolację i było nas tam wtedy tylko sześć osób, między innymi ja byłem też. I następnie, po kolacji, gdzie były dobre wina, bo w Bazarze, o tym powiem później, bo Bazar był słynny jako hurtownik sprzedaży wina. Więc po dobrej kolacji zakrapianej winem, poszliśmy zwiedzać razem z Kiepurą, piwnice Bazarowe, które były ogromne, gdzie tam było zmagazynowane, w butelkach – pamiętam, wtedyśmy o tym rozmawiali – pół miliona butelek leżało, a drugie pół miliona było w beczkach w strefie tzw. wolnocłowej. Bo później dopiero Bazar to przelewał w butelki i na sprzedaż to szło. Dyrektor Bazaru pan Kujaciński poczęstował jakimś węgrzynem czy jakimś innym takim specjałem Kiepurę, podobno to miało 80 lat, ten płyn, i on spróbował, i wypłuł to. Powiedział, że to niedobre jest. I to mi tak utkwilo w pamięci. A jeśli chodzi o ten jego przyjazd do Bazaru, więc przyjechał,

oczywiście zaraz był tłum przed drzwiami Bazarowymi, który nie chciał puścić Kiepur do środka:

- Jasiu zaśpiewaj! Zaśpiewaj!

W końcu jakoś Jasiu Kiepurę się dostał do środka i to też doskonale pamiętam, jak wszedł do holu i mówi:

- Eee, Poznaniacy to też bez temperamentu, bo wszystkie guziki od fraka jeszcze mam niepoobrywane.

No i wtedy wszedł, jeszcze na piętrze był balkon i z balkonu śpiewał dla publiczności, i to było wspaniałe, bo nie było żadnych megafonów, prawda, tylko ten głos szedł naturalnie i to była noc, już była dwunasta w nocy, to się rozlegało po placu Wolności i śpiewał wszystkie te najbardziej popularne melodie. No, aplauz był niesamowity.

JK: To jest piękne.

JT: To były tysiące ludzi, tam stało na placu Wolności, przysłuchiwało się temu zupełnie zaimprovizowanemu koncertowi.

JK: Co jeszcze ewentualnie, bo to jest bardzo piękne wspomnienie, czy jeszcze Pan ma jakieś wspomnienie związane właśnie z takim wydarzeniem, jak Kiepurę czy jak bal czy jubileusz.

JT: Nie, no wie Pan, jeszcze byłem wtedy za młody, by chodzić na bale. Wiem, że takie się odbywały co roku. No niestety nie byłem na żadnym. Tylko pamiętam, to też było takie przyjemne, że jak już wspomniałem, chodziliśmy na te zakupy, a potem przychodziło się do Bazaru i tam spotykało się masę znajomych rodziny. To była właściwie taka zbiórka rodzinna, tak że ci portierzy, to wszystko wiedziało, że a to ciocia, a to wujek, a to dziadek, a to coś. Oni byli doskonale zorientowani w naszych stosunkach rodzinnych. To było po prostu takie rodzinne przedsiębiorstwo.

JK: To znaczy rodzina Twardowskich miała większość?

JT: Nie. Mój ojciec miał 25%. Najwięcej miała rodzina Mielżyńskich, dlatego że Mielżyński się przyjaźnił z Marcinkowskim. I Marcinkowski namówił Mielżyńskiego, żeby wyłożył pieniądze na to. No i wtedy dwóch takich magnatów na to się złożyło. Nazwisko mi w tej chwili wypadło, zaraz mi się przypomniało. W każdym razie jeden dał grunt pod Bazar - Łącki! Łącki z Posadowa dał grunt pod Bazar - a Mielżyński finansował. Był jednym z głównych, to właściwie było składkowe, kupcy poznańscy też się składali na to. I teraz może taka jedna też ciekawostka, o której się niedawno dowiedziałem, że pierwszym prezesem rady nadzorczej Bazaru, był taki sławny kupiec, nazwiska w tej chwili nie powiem, nie pamiętam, który był tak zamożny, że kupił majątek Wojnowo, które później należało do mojego ojca. I on wybudował ten dom, który do dziś stoi, pałac wybudowany przez niego.

JK: A kiedy rodzina Twardowskich weszła w posiadanie jakiegoś pakietu akcji?

JT: No to wie Pan co, to szło drogą spadków przeważnie. Ponieważ ten właśnie Józef Żychliński, był moim prapradziadem, to potem szło przez wszystkie te córki i zięciów itd., więc moja matka była prawnuczką, więc miała też jakiś w tym udział.

JK: W pana pamięci...

JT: Więc w sumie ojciec miał przed wojną 25% akcji.

JK: W Pana pamięci jest to przedsięwzięcie i za pana czasów, można powiedzieć, ziemiańskie, ale jak powstawało, to przecież Karol Marcinkowski przecież ziemianinem nie był, i wciągał nie-ziemian.

JT: Tak. Ale on był bardzo zaprzyjaźniony z panią Szczaniecką. Taka też ciekawostka, bo ona miała majątek Pakosław, oddalony o 50 km od Poznania. I ponieważ on dużo pracował w dzień, ale jednak jeszcze był na tyle silny, że siadał na konia i wieczorem te 50 km galopował do Pakosławia, prawda? I tam spędzał miłe chwile, i rano znowu galopował do Poznania.

JK: To tradycja ustna?

JT: Nie, to ja gdzieś wyczytałem. Takie wspomnienia.

JK: Co Pan pamięta, czy Pan coś może powiedzieć, właśnie o takich zwrotnych momentach historii. Wrzesień 39 czy rok 45-ty, jak przyszli Rosjanie, co się Panu z tymi datami kojarzy, z wojną i tymi przełomowymi datami?

JT: Nie, niestety, dlatego że na początku wojny to byliśmy na wsi, i to w tym majątku bardzo oddalonym od Poznania, bo aż koło Kruszwicy, a później nas wysiedlono do Generalnej Guberni, tak że jak Rosjanie weszli do Poznania, to byliśmy pod Warszawą.

JK: To jest dla mnie skądinąd też ciekawe, bo będziemy w tym roku robili też film o wysiedleniach. O wojennych wysiedleniach. To jest dla mnie cenna wskazówka, że się można do Pana ewentualnie zwrócić.

JT: Tak, mogę powiedzieć, w jakiej formie się to odbywało, tak?

JK: To może Pan mi powie parę zdań też o tym. Ja potem się jeszcze raz z tym zwrócę, jak już będziemy w tej fazie, ale już bym coś wiedział. Jak to wyglądało?

JT: Wyglądało to dosyć, dosyć ciekawie. Ojciec mój był przed I wojną światową oficerem niemieckim. Doskonale znał Niemców, miał nawet wielu przyjaciół Niemców. I jak się Niemcy zbliżali, to zawsze twierdził:

- Słuchajcie, nie bójcie się tak, bo to są kulturalni ludzie, najwyżej przejdzie front i nic się nie stanie. Tymczasem było zupełnie inaczej. Front przeszedł, a za frontem, zaraz tydzień później przyszedł pierwszy gestapowiec, który powiedział ojcu, że nawet skarpetki, które ma na nogach, to już należą do Führera. - Nic do pana nie należy. Wszystko jest nasze.

Później on został odwołany po dwóch tygodniach, a po dwóch tygodniach przyjechał bardzo elegancki Pan major emerytowany, któregośmy przyjęli prawie jako gościa. Jadał z nami przy stole

i w pewnym momencie powiedział: - Proszę pana – do mojego ojca – ale jutro pan musi się stawić do Inowrocławia, do starostwa. Więc ojciec miał już jakieś przeczucia, tak że zabrał już szczoteczkę do zębów i wszystko. I z tego starostwa od razu ich do więzienia wszystkich zaprowadzono. Następnie – to było po jakimś miesiącu... również – ciągle żeśmy z tym panem żyli w jednym domu i jedli przy jednym stole. Też oświadczył, że musi wyjechać jutro na urlop, na dwa dni wyjeżdża i prosi, żeby tutaj nic się nie stało. Matka już miała takie przeczucie i mówi:

- Ale panie majorze, a co z nami będzie jak pana nie będzie? Pan się nami tu opiekuje.
- Nic się Państwu nie stanie. A po prostu nie chciał asystować przy tym momencie pakowania się do walizek. Pozwolono nam tylko niewiele rzeczy zabrać. I wywieźli nas aż do Gniewkowa – 50 kilometrów, żeśmy całą noc końmi jechali.

JK: A ojciec?

JT: Ojciec był w tym czasie w więzieniu.

JK: I wypuścili go?

JT: Wypuścili go później - na skutek interwencji naszej niemieckiej rodziny, bo część naszej rodziny była przez kilkaset lat już w Niemczech, ale zawsze utrzymywaliśmy stosunki z nimi przed wojną. Jakoś oni wpłynęli na to, że ojca wypuścili tego samego dnia, co nas z obozu. I nawet kazali nam wracać do Głębokiego – tam do majątku, ale myśmy nie chcieli, ponieważ wszystkich naszych sąsiadów już wyrzucili, więc nie chcieliśmy jako jedyni, prawda, z łaski Niemców wracać do naszego domu. No więc zamieszkaliśmy w Kruszwicy w takim wynajętym mieszkaniu.

JK: A potem do Generalnej Guberni.

JT: A potem! To były jeszcze kombinacje, żeśmy trzy lata spędzali w Niemczech, bo ta rodzina niemiecka twierdziła, że wszystkich Polaków, inteligencję mają zamiar wymordować, najpierw Żydów, a później inteligencję, żeby unikać tego, żeby się nie dać wywieźć do Generalnej Guberni. No i jakoś wyrobili nam tam takie mieszkanko małe w Bawarii i tam żeśmy trzy lata mieszkali, przez cały czas namawiani przez władze Niemieckie, żeby przyjąć obywatelstwo niemieckie. Jak po trzech latach żeśmy odmówili ostatecznie, to nas przesiedlili do Warszawy.

JK: To jest bardzo ładna historia i ważna, ale się w tej sprawie jeszcze zwrócę osobno, jak zaczniemy robić ten materiał o wysiedleniach. A teraz jeszcze w takim razie bym Pana prosił, żeby Pan opowiedział o tym, jak przetrwała spółka Bazar czas komuny w Polsce?

JT: To była dosyć też skomplikowana sprawa, bo z początku nie było wiadomo, że to będzie upaństwowione, a Bazar został zniszczony przez Rosjan, właściwie prawie w 100% , dlatego że Rosjanie się dostali do tych ogromnych składów win. I tam się upili strasznie, i nie było sposobu, żeby ich stamtąd wyrzucić, to jakiś oficer wpadł na pomysł, żeby tam rzucać bombę zapalającą i cały Bazar spłonął. No więc jak już się tu troszkę ustabilizowały stosunki w Poznaniu, to ojciec razem z dawnym dyrektorem Kujacińskim postanowili jednak coś ratować, co się da. Ponieważ

mury stały, dachu nie było, dach był tylko spalony, więc postanowiono wziąć kredyt, odbudować, najpierw położyć dach, żeby zabezpieczyć budynek. No i kupcy poznańscy się zaraz zgłosili, że oni chętnie za swoje pieniądze odbudują sklepy. W ramach dzierżawy, prawda, oni włożyli pieniądze w te sklepy.

No i to tak trwało przez rok czy dwa, powoli się tam te roboty budowlane ciągnęły. I w pewnym momencie, ojciec przychodzi rano, żeby zobaczyć, jak tam idzie robota, a tymczasem zupełnie innych majstrów spotkał. I mówi:

- Co wy tu robicie? A oni mówią:

- My jesteśmy przysłani przez Orbis.

I nie było żadnego pisma, nic nie było, tylko po prostu weszli na czyjąś budowę i zaczęli odbudowywać. A okazuje się – dopiero później dostaliśmy uchwałę Miejskiej Rady Narodowej – że to zostało przekazane miastu.

No i przez wiele, wiele lat, no ile, czterdzieści chyba Orbis urzędował w tym. On odbudował, zresztą bardzo niechlujnie, tak że żadnej elegancji tam nie było, w tym hotelu wtedy.

JK: Bez odszkodowania.

JT: Bez odszkodowania, tak.

JK: A jak spółka dalej przetrwała?

JT: Ale do tej spółki, oprócz hotelu, jeszcze należało kilka kamienic, więc to zostawili nam. I na bazie tych trzech kamienic, ta spółka egzystowała. Nawet ja wtedy należałem do Rady Nadzorczej. Myśmy nie wiedzieli, czy egzystować, czy rozwiązać, czy dobrowolnie. No i już nawet taki był projekt, żeby to sprzedać i jakąś ładną wydać książkę o Bazarze, ale do tego na szczęście nie doszło, tak że ta spółka trwała i trwała. I dopiero, jak się tutaj te stosunki polityczne trochę rozluźniły, to mój bratanek – właściwie jemu trzeba to zawdzięczać – Jędrzej Twardowski, razem ze swoim kolegą prawnikiem, udali się kilka razy do Warszawy, do Ministerstwa Skarbu i doszli do wniosku, że uchwała Rady Miejskiej była zupełnie bezprawna.

I na skutek tego, można było przeprowadzić reprywatyzację. I przyjechał nagle rozradowany. Przyjechał z pismem, od Ministra Skarbu, że przywrócona jest dawna własność. I decyzja jest nieodwołalna.

JK: Ale był proces jeszcze jakiś?

JT: Nie. Procesu już nie było. Orbis się starał długi czas, żeby to obalić, ale jakoś nie doszło do tego.

JK: Wierzył Pan w to? Myślał Pan o tym?

JT: O czym?

JK: Że to się uda?

JT: Że się uda, no..

JK: Jak to było 30 lat temu?

JT: Przed wojną?

JK: Nie. Teraz w 70-tych latach, PRL, Gierek rządzi, to Pan myśli, że Pan będzie jeszcze kiedyś?

JT: Oczywiście, że nie. Ale jak już był ten dokument, to już wtedy zaczęliśmy myśleć, że jednak trzeba będzie coś zrobić.

JK: Ale dlaczego ta spółka, przecież to był za PRL-u tylko kłopot mieć kamienicę. Przecież to był tylko kłopot.

JT: Tak, no więc właśnie - dochodów żadnych nie było z tego, żadnych, absolutnie. Bo tam byli lokatorzy, którzy mieli przydział, mieszkania, wyniszczyli tę kamienicę strasznie. No, ale jakaś własność była jeszcze. Znaczą się, ta spółka się opierała na tej własności.

JK: No ale trzeba było ponosić jakieś koszty, robić zebrania akcjonariatu.

JT: Tak. Tośmy robili – składkowe.

JK: Notariusza opłacać.

JT: Notariusza mieliśmy w rodzinie. Tak, że to się wszystko jakoś udawało.

JK: A może jeszcze Pan mi powie, co Pan robił zawodowo w swoim życiu?

JT: Więc jestem urodzony i wykształcony, i w praktyce rolnikiem. Tak że aż do emerytury byłem na wsi, oczywiście nie pozwolono być tutaj w poznańskim, bo taki był przepis, że nie można było być bliżej niż 30 kilometrów od miejsca dawnego zamieszkania. Więc wysiedlono mnie aż w lubelskie. Potem przewędrowałem do województwa olsztyńskiego, z olsztyńskiego do gdańskiego, z gdańskiego do śląskiego i w śląskim bardzo długo już tam byłem. I na emeryturę ściągnąłem do Poznania dopiero.

JK: A jeszcze, żeby sobie to wyobrazić, niech Pan powie, na czym to polegało, co było tam takiego eleganckiego w tym Bazarze, co było takiego, co powodowało u moich dziadków, że się wymawiało z taką estymą tę nazwę?

JT: No bo może właśnie, tam była bardzo elegancka restauracja i była ta tradycja tych bali eleganckich, nie każdego wpuszczano wtedy nawet. Trzeba było mieć stosunki, żeby być zaproszonym na te bale.